



STEPHEN
KING

BEZSENNOŚĆ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
INSOMNIA

Copyright © Stephen King 1994
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 1996

Redakcja: Lidia Grochola

Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Nikt – a już z pewnością nie doktor Litchfield – nie powiedział Ralphowi Robertsonowi zwyczajnie i po prostu, że jego żona umiera, ale nadeszła chwila, kiedy Ralph to zrozumiał i nikt niczego mu już mówić nie musiał. Miesiące dzielące marzec od lipca pozostawiły po sobie wspomnienie niemego krzyku bólu, chaosu i rozpacz: rozmowy z lekarzami, wieczorne jazdy z Carolyn do szpitala, wyprawy na specjalistyczne badania do innych stanów i innych szpitali (większość czasu w trakcie tych wypraw Ralph spędził dziękując Bogu za polisę żony: Blue Cross/Major Medical), godziny przesiedziane w bibliotece publicznej w Derry, poświęcone najpierw poszukiwaniu rozwiązań, które mogli przeoczyć lekarze, później zaś na poszukiwaniu nadziei... brzytwy, której można by się było chwycić. Przez te cztery miesiące Ralph Roberts czuł się niczym pijak podczas jakiegoś koszmarnego karnawału, w czasie którego ludzie jadący na górskiej kolejce wrzeszczą z prawdziwego strachu, ludzie zagubieni w gabinecie luster zgubili się rzeczywiście, a karły, garbusy i kobiety z brodami patrzą na człowieka z fałszywymi uśmiechami na ustach i przerażeniem w oczach. Ralph zaczął odbierać życie w ten sposób gdzieś w połowie maja, a gdy nadszedł czerwiec, zaczął również pojmować, że handlarze, którzy przy tej alejce ustawili stoliki, sprzedają wyłącznie lewe lekarstwa, a płynąca z katarynki wesoła melodyjka niczym się nie różni od marsza pogrzebowego. Karnawał? Tak – karnawał. Karnawał dusz potępionych.

Końcem wiosny i początkiem lata 1992 roku próbował odpędzić od siebie te obrazy – i to coś znacznie straszniejszego, co się z nimi kryło – ale na przełomie czerwca i lipca stało się to w końcu całkiem niemożliwe. Fala upałów, najgorsza od 1971 roku, ogarnęła

środkowe Maine; Derry gotowało się niczym we wrzątku, pociło w parnym powietrzu w temperaturze przekraczającej trzydzieści stopni. Życie w mieście, nigdy nieprzypominającym ruchliwej metropolii, zamarło całkowicie. Cisza zapanowała w nim niepodzielnie, a w tej ciszy Ralph Roberts po raz pierwszy usłyszał tykanie zegara śmierci i pojął, że podczas gdy chłód i zieleń wiosny zmieniły się w gorący upał lata, skromne szanse Carolyn spadły do zera. Carolyn miała umrzeć. Być może nie tego lata – lekarze twierdzili, że w rękawach mają jeszcze całą masę asów, i z całą pewnością mówili prawdę – ale jesienią lub zimą Carolyn, towarzysząca mu wiernie przez tak wiele lat życia, jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochał, miała umrzeć. Próbował zaprzeczyć temu faktowi, wymyślał sam sobie od idiotów, ale w ciężkiej ciszy, w upalnym, dusznym powietrzu ze wszystkich kątów dobiegało go tykanie... tykanie zegara śmierci słyszał nawet w czterech ścianach mieszkania.

Najgłośniej rozlegało się ono jednak z wnętrza samej Carolyn, a kiedy obracała ku niemu spokojną, bladą twarz – by, na przykład, poprosić go o włączenie radia, którego chciała posłuchać, przygotowując im fasolę na kolację, albo poszedł do sklepu i przyniósł jej loda na patyku – dostrzegał, że i ona słyszy ten zegar. Dostrzegał to w jej ciemnych oczach, najpierw tylko wtedy, gdy była przytomna, lecz potem także, gdy jej wzrok przyćmiewały środki przeciwbólowe. Wtedy już tykanie było bardzo głośne i kiedy w te upalne letnie noce leżał obok niej w łóżku – zwykła powłoczka wydawała się ważyć ładnych parę kilo i chyba wszystkie psy w Derry wyły do księżycy – słuchał go, słuchał zegara śmierci tykającego w ciele Carolyn i miał wrażenie, że serce mu pęknie ze smutku... i ze strachu. Ile będzie musiała wycierpieć, nim nadejdzie koniec? Ile on będzie musiał wycierpieć? Jak uda mu się żyć bez niej?

W tym właśnie przerażającym okresie życia Ralph zaczął coraz częściej spacerować w upalne letnie popołudnia i długie mroczne wieczory. Do domu wracał często tak zmęczony, że nie mógł jeść. Spodziewał się, że Carolyn zgani go za te jego nowe obyczaje, że powie: „Daj sobie spokój, ty stary wariacie! Zabijesz się, jeśli nie przestaniesz łązić po tym upale”, lecz ona nigdy nic takiego nie powiedziała, więc w końcu zdał sobie sprawę, że po prostu nic szczególnego nie dostrzegła. Wiedziała, że wychodzi... co to, to tak, owszem, ale nie, że spaceruje kilometrami, że często wraca do domu drżąc ze zmęczenia od stóp do głów, bliski udaru. Dawno, dawno

temu Ralphowi wydawało się, że Carolyn widzi wszystko, nawet jeśli chodziło tylko o przedziałek we włosach kilka milimetrów wyżej lub niżej. Lecz to przeszło, minęło, guz mózgu pozbawił ją zdolności obserwacji, tak jak miał pozbawić ją życia.

Spacerował więc dalej, ciesząc się upałem, choć czasem kręciło mu się od niego w głowie i dzwoniło w uszach. Cieszył się nim dlatego właśnie, że dzwoniło mu w uszach, a zdarzały się nawet godziny, kiedy w głowie kręciło mu się tak bardzo, a w uszach dzwoniło tak głośno, że nie słyszał nawet tykania zegara śmierci.

Podczas tego upalnego lipca przeszedł piechotą niemal całe Derry; stary człowiek o wąskich ramionach, rzędzących siwych włosach i wielkich dłoniach wyglądających tak, jakby nadal nie bały się ciężkiej pracy. Chodził Witcham Street na Pustkowie, Kansas Street na Nebolt Street i Main Street aż na Most Całusów, ale najchętniej wędrował na zachód, wzdłuż Harris Avenue, przy której w ich domku nadal piękna i nadal kochana Carolyn spędzała ostatnie miesiące życia, nieprzytomna z bólów głowy i morfiny, na Harris Avenue Extension biegnącą do portu lotniczego hrabstwa Derry. Szedł pozbawioną drzew, wydaną na pastwę bezlitosnego słońca ulicą, aż nogi ugiwały się pod nim, zawracał, gdy miał trudności z utrzymaniem równowagi.

Odpoczywał na zacienionym terenie piknikowym, leżącym w pobliżu służbowego wjazdu na lotnisko. Nocami piły tu i zabawiały się dzieciaki, noce pulsowały muzyką rap z wielkich przenośnych radiomagnetofonów, ale w ciągu dnia miejsce to należało niemal wyłącznie do Ralph'a i grupy jego przyjaciół, których Bill McGovern nazywał Starymi Piernikami z Harris Avenue. Stare Pierniki zbierały się na terenie piknikowym, by pograć w szachy i w durnia albo po prostu pogadać. Wielu z nich Ralph znał od lat (ze Stanem Eberlym chodził nawet do podstawówki) i czuł się w ich towarzystwie całkiem swobodnie... pod warunkiem, że nie byli zbyt wścibscy. Na ogół nie byli. Prawie wszyscy należeli do starej jankeskiej szkoły i wyznawali zasadę, że jeśli mężczyzna nie chce o czymś mówić, to jest to tylko jego sprawa.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek Ralph się zorientował, że z jego sąsiadem, Edem Deepneau, coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Tego dnia zaszedł dalej niż zazwyczaj, prawdopodobnie dlatego, że na niebie pojawiły się ciemne burzowe chmury, powietrze zaś – choć z rzadka – poruszał jednak chłodny wiaterek. Wpadł w coś w rodzaju transu, o niczym nie myślał, nie patrzył na nic oprócz zakurzonych nosków adidasów. Do przytomności doprowadził go dopiero samolot United Airlines – lot z Bostonu o czwartej czterdzieści pięć – który przeleciał mu nad głową z ogłuszającym rykiem silników.

Patrzył, jak odrzutowiec leci nad starymi torami kolejowymi i nad ogrodzeniem z drutów kolczastych wzdłuż granicy terenów lotniska, patrzył, jak ląduje i spod kół unoszą się niewielkie obłoczki dymu. Potem zerknął na zegarek, zorientował się, jak pusto jest dookoła, podniósł wzrok i rozszerzonymi ze zdumienia oczami spojrzał na pomarańczowy dach baru Howard Johnson's. Rzeczywiście, wpadł w trans. Przeszedł z osiem kilometrów, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, ile mu to zabrało czasu.

Ile czasu zabrało to Carolyn? – szepnął mu w głowie jakiś głos.

Tak, ile czasu zabrało to Carolyn. Carolyn wróciła do domu, odlicza pewnie minuty dzielące ją od kolejnego darvonu complex, on zaś utknął tu, przy lotnisku... tu, praktycznie w połowie drogi do Newport.

Ralph spojrzał w niebo i po raz pierwszy tak naprawdę dostrzegł sine jak sińce chmury gromadzące się nad lotniskiem. Nie oznaczały jeszcze deszczu, a już na pewno nie zacnie padać za chwilę, ale jeśli zacnie, on z pewnością przemoknie do suchej nitki – jedynym schronieniem w okolicy była szopa na terenie piknikowym przy pasie startowym nr 3, a właściwie zwykła rozchwiana wiata, trochę śmierdząca piwem.

Jeszcze raz spojrzał na pomarańczowy dach HoJo, po czym sięgnął do kieszeni i pomacał plik banknotów spiętych srebrnym uchwytem. Dostał go od Carolyn, w prezencie na sześćdziesiątą piątą urodziny. Kto mu zabroni zadzwonić po taksówkę... oprócz spojrzenia taksówkarza. Już sobie wyobrażał: „Głupi staruchu” – mówiły jego oczy, wpatrzone w niego w lusterku wstecznym. „Głupi staruchu, nie powinienes tak leżć przed siebie w ten upał. Gdybyś się wybrał popływać, utonąłbyś”.

To paranoja, Ralph – powiedział mu głos w głowie, bardzo

przypominający teraz gdaczący, pełen wyższości głos Billa McGoverna.

Dobra, może to paranoja, a może i nie, ale już raczej zaryzykuje i wróci piechotą.

A jeśli nie będzie to zwykły deszcz? Zeszłego lata, w sierpniu, wiało tak strasznie, że wichura powybijała wszystkie okna wychodzące na zachód.

Niech wieje, powiedział sobie Ralph. Mnie tam byle co nie uszkodzi.

Obrócił się i ruszył z powrotem w kierunku miasta; za każdym krokiem spod starych adidasów unosiły się obłoczki kurzu z wyschniętej ziemi. Z zachodu, od strony gdzie zbierały się chmury, dobiegły go pierwsze pomruki grzmotu. Słońce, choć już zakryte, nie poddawało się jednak bez walki, zdobiąc złotem krawędzie chmur i przeświecając przez nie blaskiem jakby gigantycznego projektora filmowego. Ralpha radowało, że zdecydował się na spacer, mimo iż bolały go nogi i dokuczał kręgosłup.

No, pomyślał. Przynajmniej wreszcie zasną. Będę spał jak jakiś cholerny kamień.

Po lewej ręce miał teraz skraj lotniska – wielkie pole zrudziałej trawy z zanurzonymi w niej, niczym wrak w oceanie, zardzewiałymi szynami kolejowymi. Daleko, za siatką, widział boeinga United Airlines wielkości dziecinnej zabawki, kołującego w stronę terminalu, który przyjmował także samoloty Delty. Nagle jego uwagę przyciągnął inny wehikuł: samochód odjeżdżający sprzed terminalu General Aviation, po tej stronie lotniska. Samochód jechał asfaltową alejką do bocznej bramy wychodzącej na Harris Avenue Extension. Ralph widywał ostatnio sporo wyjeżdżających przez nią samochodów – zaledwie jakieś siedemdziesiąt metrów dzieliło ją od miejsca, w którym zbierały się Stare Pierniki. Po chwili nawet rozpoznał wóz, datsuna Eda i Helen Deepneau. Ale pędzi!

Staął na poboczu. Patrzył na jadący w stronę bramy samochodzik, nie zdając sobie sprawy z tego, że zaciska dłonie. Z zewnątrz bramę otwierało się specjalną plastikową kartą, od środka sprawę załatwiała fotokomórka, ale znajdowała się ona blisko, bardzo blisko ogrodzenia i przy tej prędkości...

W ostatniej chwili (przynajmniej tak mu się wydawało) brązowy samochodzik zatrzymał się z piskiem opon. W powietrze uniosły się obłoczki dymu z palonej gumy, niczym spod kół lądującego

boeinga. Brama zaczęła się powoli unosić, Ralph rozluźnił zaciśnięte w kieszeniach pięści.

Z otwartego okna po stronie kierowcy wyłoniła się ręka i zaczęła machać w górę i w dół, najwyraźniej popędzając pełznącą powoli po prowadnicach bramę. Było w tym coś tak absurdalnego, że Ralph aż się uśmiechnął, uśmiech jednak spełził mu z warg, zanim odsłonił zęby. Z zachodu, tam gdzie zbierały się chmury, wiał coraz silniejszy wiatr i wiatr ten niósł w jego kierunku głos kierowcy datsuna.

– Ty sukincóro! Ty kurwo! Ty piczo! W dupę ci wsadzę! Rusz się! Rusz się, ty pieprzona dziwko! Pieprzona dziwka! Pierdolona kurwa! Picza!

– To nie może być Ed Deepneau – mruknął Ralph. Ruszył przed siebie, nie zdając sobie z tego sprawy. – To nie może być Ed!

Ed Deepneau, chemik, pracował jako naukowiec w Hawking Laboratories w Fresh Harbor i był jednym z najłagodniejszych, najuprzejmniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać. I on, i Carolyn bardzo lubili zarówno jego, jak jego żonę Helen, nie wspominając już o ich maleńkiej córeczce Natalie. Tylko wizyty Natalie pozwalały Carolyn zapomnieć o tym, co się z nią dzieje. Wyczuwając to, Helen często ją do nich przyprowadzała, a Ed bynajmniej nie protestował. Ralph doskonale zdawał sobie sprawę, iż na świecie jest mnóstwo mężczyzn, którzy nie byliby zachwyceni tym, że ich żona wodzi córeczki do staruszków sąsiadów za każdym razem, gdy dziecko robi coś nowego i szalenie interesującego, zwłaszcza że przysłowiowa babunia jest śmiertelnie chora. Ralph miał wrażenie, że gdyby Ed powiedział komuś: „Idź do diabła”, to wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mu przespać najbliższej nocy, tyle że teraz...

– Ty pierdolona dziwko! Rusz tę tłustą dupę, słyszysz? Dziwka! Kurwa!

Był to głos Eda. Dzielilo ich dwieście, może trzysta metrów, lecz był to niewątpliwie głos Eda!

Silnik datsuna zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł. Zawarczał i przycichł – zupełnie jakby jakiś smarkacz w wyścigowym wozie czekał na zielone światło. Z rury wydechowej ziały kłęby niebieskiego dymu. Gdy tylko brama uniosła się wystarczająco wysoko, datsun wystartował przed siebie z rykiem silnika i Ralph miał wreszcie okazję przyrzeć się z bliska jego kierowcy. Oczywiście był nim Ed.

Podsakając i kołysząc się, samochód przejechał krótki odcinek gruntowej drogi dzielącej bramę od Harris Avenue Extension. Nagle rozległ się ryk klaksonu i Ralph dostrzegł niebieskiego fordą rangera, który jechał Harris Avenue na zachód, skręcającego gwałtownie, by uniknąć zderzenia. Kierowca pick-upa za późno jednak dostrzegł niebezpieczeństwo, Ed zaś najwyraźniej nie zauważył go w ogóle (dopiero później przyszło Ralphowi do głowy, że mógł staranować fordą celowo). Zapiszczały opony, rozległ się tępy huk i datsun wbił się maską w bok pick-upa, przesuwając go aż za żółtą, środkową linię. Maską samochodu Edą wygięła się w harmonijkę, wyskoczyła z zawiasów i uniosła lekko, na asfalt poleciało szkło, po czym oba samochody zamarły pośrodku drogi, wczepione w siebie i przypominające abstrakcyjną rzeźbę.

Przez jakiś czas Ralph stał nieruchomo, patrząc, jak pod maską datsuna rośnie ciemna kałuża oleju. W ciągu blisko siedemdziesięciu lat życia widział wiele wypadków – głównie stłuczek, ale jeden czy dwa były poważniejsze – i zawsze zdumiewało go, jak szybko wszystko się wówczas dzieje i jakie wydaje się mało dramatyczne. Wcale nie jak na filmie – kamera jest w stanie zwolnić przebieg zdarzeń, na wideo można nawet kilka razy obejrzeć sobie spadający ze skalnego zbocza wóz, jeśli ma się na to ochotę. W rzeczywistości istnieje tylko kilka nakładających się niemal na siebie, zamazanych obrazów, a potem znajoma kombinacja dźwięków: pisk opon, tępy trzask metalu uderzającego o metal, brzęk tłukącego się szkła... i *voilà, tout fini!*

Tego typu sprawy regulował nawet swoisty protokół: „Jak Należy Zachować Się W Przypadku Stłuczki”. Jasne, protokół, rozmyślał Ralph. W Derry każdego dnia zdarzało się ze dwadzieścia stłuczek, a w zimie, gdy spadł śnieg i ulice robiły się śliskie, nawet ze dwa razy tyle. Wysiada się, spotyka przeciwnika w miejscu, gdzie samochody się stuknęły (i gdzie najczęściej jeszcze tkwią), patrzy i potrząsa głową. Czasami – najczęściej – fazę tę charakteryzują padające z obu stron ostre słowa: pośpieszna ocena swoich i cudzych umiejętności, wzajemne oskarżenia i groźby oddania sprawy w ręce prawników. Prawdopodobnie wpłatani w stłuczkę kierowcy używając zbyt wielu niepotrzebnych słów, w ten sposób oskarżają się nawzajem: „Widzisz, idioto, śmiertelnie mnie wystraszyłeś!”

Ostatnią figurą tego żalosnego w gruncie rzeczy tańca jest zazwyczaj Wymiana Świętych Numerów Ubezpieczeniowych. W tym

momencie przeciwnicy odzyskują na ogół kontrolę nad rozszalałymi emocjami – to znaczy jeśli nikt nie został ranny, najwyraźniej tak jak w tym przypadku – i czasami nawet ściskają sobie dłonie!

Ralph przygotował się duchowo na ten właśnie taniec, który mógł sobie obejrzeć z wygodnego miejsca oddalonego o sto pięćdziesiąt metrów od sceny wydarzeń, lecz gdy tylko otworzyły się drzwi datsuna, zrozumiał, że wszystko tu odbędzie się inaczej, że wypadek nie tyle się wydarzył, co dzieje się nadal. A już z całą pewnością to przedstawienie nie skończy się dżentelmeńskim uściskiem dłoni.

Drzwi datsuna nie tyle się otworzyły, co wystrzeliły z zawiasów. Ed Deepneau wyskoczył zza kierownicy i po prostu zamarł, wyprostowany; jego wąskie ramiona wyraźnie rysowały się na tle ciemnych chmur. Miał na sobie džinsy i podkoszulek – Ralph zorientował się nagle, że aż do dziś ani razu nie widział go w koszuli niezapinanej pod szyją. Miał też coś na szyi – coś długiego i białego. Chusta? Wyglądało to jak chusta, ale kto by nosił na szyi chustę w tak ciepły dzień?

Przez dłuższą chwilę Ed stał w miejscu. Wydawało się, że patrzy wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Zjeżone na wąskiej głowie krótkie włosy upodabniały go do koguta, z postawionym grzebieniem lustrującego podwórko w poszukiwaniu intruza, i Ralpa coś w tym podobieństwie zaniepokoiło. Pewnie chodziło o to, że nigdy nie widział Eda wyglądającego właśnie tak, ale nie tylko to. Po prostu nigdy nie widział nikogo wyglądającego właśnie tak.

Na zachodzie zagrzmiało głośniejsze niż poprzednio. Burza wyraźnie się zbliżała.

Z faceta, który wylazł zza kierownicy ford, dałoby się wykroić dwóch, a najprawdopodobniej trzech Edów. Wielki brzuch zwiślał mu na pasek spodni khaki, plamy potu pod pachami białej koszulki poło wielkością dorównywały talerzom. Gruby odsunął z czoła daszek reklamowej czapeczki West Side Gardeners, by lepiej przyjrzeć się gościowi, który go staranował. Twarz o wielkiej, masywnej szczęce miał śmiertelnie bladą, z wyjątkiem dwóch jaskrawoczerwonych plam na policzkach.

Oto pierwszej klasy kandydat do ataku serca, pomyślał Ralph. Gdybym był bliżej, z pewnością dostrzegłbym fałdy tłuszczu na jego uszach!

– Hej! – krzyknął na Eda Gruby. Z potężnej piersi wydobywał się absurdalnie cienki, niemal piskliwy głosik. – Gdzieś ty zdobył

prawo jazdy? Kupiłeś u Searsa i Roebucka?

Kręcąc się na wszystkie strony głowa Eda zamarła, a potem powoli obróciła się w stronę głosu, skierowała się na niego niczym dziób odrzutowca na wiązkę promieni radaru. Ralph po raz pierwszy dostrzegł wówczas oczy Eda Deepneau i strach niemal wyczuwalnie zaciążył mu na sercu. Pobiegł przed siebie najszybciej jak potrafił, Ed tymczasem ruszył w stronę Grubego w przepoconej koszulce i czapce-reklamówce. Szedł na sztywnych nogach, wyprostowany, zupełnie inaczej, niż chodził zazwyczaj, kołysząc się i pociągając nogami.

– Ed! – krzyknął Ralph, lecz coraz silniejszy – i coraz chłodniejszy, z pewnością będzie padać – wiatr porwał jego krzyk, zanim udało mu się wydostać na światło dzienne. W każdym razie Ed nawet nie drgnął. Ralph zmusił się do jeszcze szybszego biegu, kompletnie zapominając o bólu nóg i krzyża. W szeroko rozwartych, nieruchomych oczach Eda Deepneau dostrzegł mord. Nie opierał tej oceny na żadnym wcześniejszym doświadczeniu, ale nie sądził, by ktoś widząc takie spojrzenie, miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości: tak patrzą na siebie koguty, nim rzucą się do walki, dziobiąc i machając skrzydłami. – Ed! Hej, Ed! Ed, słuchaj, to ja!

Ed nie zareagował, choć musiał usłyszeć jego okrzyk, bo Ralph znajdował się już blisko. Gruby obejrzał się, w oczach miał niepokój, nawet strach. Odwrócił się i uspokajającym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

– Słuchaj pan, możemy porozmawiać...

Nie dane mu było skończyć. Ed zrobił jeszcze jeden szybki krok, podniósł smukłą, bardzo bladą na tle ciemnych chmur dłoń i wałnął nią Grubego we wcale potężną szczękę. Trzask przypominał huk wystrzału z dziecięcej wiatrówki.

– Ile ich zabiłeś? – spytał.

Gruby oparł się ciężko o swego pickupa. Szczeka mu opadła, usta miał szeroko rozwarłe. Ed parł przed siebie, sztywno, jak przedtem. Podszedł tak blisko, że zetknęli się brzuchami, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Gruby jest od niego dziesięć centymetrów wyższy i dobre pięćdziesiąt kilogramów cięższy. Wyciągnął rękę i jeszcze raz uderzył go w twarz.

– No już, syp, twardzielu. Ile ich zabiłeś? – wrzasnął, ale jego głos zginął w huku pierwszego prawdziwego grzmotu nadchodzącej burzy.

Gruby odepchnął go. Nie był to gest agresji, lecz zwykłego strachu. Ed poleciał do tyłu, aż na zgniecioną maskę datsuna, odbił się od niej natychmiast, podniósł pięści. Gotów był rzucić się na przeciwnika, przypartego do swego forda, z krzywo siedzącą na głowie czapką i koszulą wyłazącą mu ze spodni z tyłu i po bokach. Ralphowi nagle coś się przypomniało – oglądany przed laty komiks *Three Stooges*, Larry, Curly i Moe bez pojęcia bawiący się w malarzy – i poczuł przypływ sympatii dla Grubego, który nie tylko wyglądał śmiesznie, ale i sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego.

Ed Deepneaubynajmniej nie wyglądał śmiesznie. Zeskrzywionymi w grymasie wargami, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, coraz bardziej przypominał gotowego do walki koguta.

– Wiem, czym się zajmujesz – powiedział Grubemu. – Co ty tu próbujesz grać za komedię? Czy naprawdę wierzysz, że tobie i tym innym rzeźnikom zawsze wszystko będzie uchodzić na sucho...?

W tym momencie pojawił się Ralph, dyszący jak stara dorożkarska szkapą, i chwycił go za ramiona. Gorąco, które poczuł pod cienkim podkoszulkiem, wyprowadziło go z równowagi – czuł się tak, jakby dotknął pieca – a kiedy Ed się na niego obejrzał, Ralph miał przelotne, lecz niezapomniane wrażenie, że patrzy właśnie w głąb rozpalonego pieca. Nigdy jeszcze w oczach żadnego człowieka nie dostrzegł tak całkowitej, tak bezmyślnej furii. Nie podejrzewał nawet, że furia taka może w ogóle istnieć. Jego pierwszym odruchem było uskokzyć, ale zdołał się opanować i ani drgnął. Pomyślał, że jeśli uskokczy, Ed rzuci się na niego jak wściekły pies, gryząc i drapiąc. Bzdura, oczywiście, Ed to naukowiec, chemik, Ed jest członkiem Klubu Książki Miesiąca (należał do tej nielicznej grupy ludzi, którzy prawie zawsze wybierają dziesięciokilogramowe historie Wojen Krymskich, umieszczone w ofercie zastępczej), Ed jest mężem Helen, ojcem Natalie... do diabła, Ed to przyjaciel!

Tylko że teraz to był inny Ed i Ralph doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Zamiast uskokzyć pochylił się, złapał go za ramiona (takie gorące pod cienkim podkoszulkiem, takie nieprawdopodobnie, okropnie gorące) i przysunął twarz do jego twarzy, aż zasłonił Grubego przed tym upiornym, nieruchomym wzrokiem.

– Daj spokój – powiedział donośnym, spokojnym i stanowczym głosem, którego, jak przypuszczał, używa się wobec histeryków. – Nic ci się nie stało. Daj spokój!

Przez chwilę Ed stał tak, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami, a potem najwyraźniej rozpoznał twarz Ralpha. Niewiele to dało, ale Ralph mimo wszystko poczuł ulgę.

– Co się z nim dzieje? – spytał ukryty za jego plecami Gruby. – Oszalał? Jak pan myślisz?

– Jestem pewien, że już czuje się dobrze. – Wcale nie miał takiej pewności. Wypowiedział te słowa kącikiem ust, nie spuszczać wzroku z twarzy Eda. Nie ośmielił się spuścić wzroku z twarzy Eda, czuł, że tylko w ten sposób może go kontrolować... jeśli w ogóle go kontroluje. – Po prostu zdenerwował go wypadek. Potrzebuje kilku chwil, żeby dojść do siebie i...

– Spytaj go, co ma pod tą płachtą! – wrzasnął nagle Ed, wskazując palcem na coś za plecami Ralpha. Błysnęło, przez chwilę blizny po młodzieńczym trądziku wystąpiły bardzo wyraźnie na jego twarzy niczym na dziwnej mapie, wskazującej miejsce ukrycia zakopanych skarbów. Zagrzmiało. – Hej, hej, Susan Day! – zaśpiewał Ed cieniem, dziecinny głosem i na ramiona Ralpha wystąpiła gęsia skórka. – Ile dzieci na sumieniu masz?

– Nie doszedł do siebie – oznajmił Gruby. – To wariat. Kiedy przyjedzie policja, dopilnuję, żeby go zamknęli.

Ralph zerknął za siebie. Bagażnik pick-upa przykryty był płachtą, przymocowaną jaskrawożółtą linką. Pod płachtą wyraźnie rysowały się okrągłe kształty.

– Ralph? – rozległ się jakiś cichy głos.

Po jego lewej stronie, obok pick-upa, stał Dorrance Marsteller, przeszło dziewięćdziesięcioletni, z pewnością najstarszy ze Starych Pryków z Harris Avenue. W bladej, pokrytej wątrobianymi plamami dłoni trzymał książkę. Miał ją w dłoniach, aż dziw, że się nie rozkleiła. Zapewne był to tomik poezji – Dorrance czytywał wyłącznie poezję. A może wcale nie czytał, tylko wpatrywał się w zmyślnie pozbierane do kupy słowa?

– Ralph, co się stało? Co się dzieje?

Błyskało częściej – fioletowobiałe kły elektryczności. Dorrance podniósł wzrok na niebo; patrzył tak, jakby niepewny był tego, gdzie jest, kim jest i co widzi. W duszy Ralpha coś jęknęło.

– Dorrance... – powiedział i w tej chwili Ed skoczył na niego niczym dzikie zwierzę, nieruchome przedtem tylko dlatego, że zbierało siły. Ralph zachwiał się, lecz ustał na nogach i odepchnął Eda z powrotem na pogniecioną maskę datsuna. Wpadł w panikę.

Za wiele działo się naraz. Czuł mięśnie ramion Eda drżące mu pod dłońmi; jakby Ed jakimś cudem połknął jedną z błyskawic, których na niebie było coraz więcej.

– Ralph – powtórzył Dorrance tym samym spokojnym, lecz strwożonym głosem. – Na twoim miejscu więcej bym go nie dotykał. Nie widzę twoich dłoni.

Świetnie. Będę musiał sobie jakoś poradzić z kolejnym szaleńcem. Tylko tego mi brakowało.

Zerknął na swoje dłonie – były na miejscu – a potem na starego.

– O czym ty gadasz?

– Twoje dłonie – tłumaczył mu cierpliwie staruszek. – Nie widzę twoich dłoni.

– To nie miejsce dla ciebie, Dor... no, znikaj.

Twarz starego rozjaśniła się nieco.

– Tak! – powiedział jak ktoś, kto przypadkiem odkrył jakąś wielką prawdę. – To właśnie powinienem zrobić. – Zaczął się cofać, a kiedy znów zagrzmiało, skulił się i zakrył głowę otwartą książką. Jej tytuł brzmiał *Buckdancer's Choice*. – I ty też powinieneś się stąd wynieść. Nie warto mieszać się w sprawy Długoterminowych. Łatwo oberwać.

– O czym ty...

Lecz nim Ralph zdołał skończyć, Dorrance odwrócił się i niepewnym krokiem odszedł w stronę terenu piknikowego. Pasemka siwych włosów, delikatnych jak u nowo narodzonego dziecka, powiewały mu na wietrze.

Jeden problem został w ten sposób rozwiązany, lecz Ralph niedługo się tym cieszył. Dorrance odwrócił uwagę Eda od Grubego, ale teraz Ed znów przeszywał go morderczym spojrzeniem.

– Piczolis! – wypluł jadowicie. – Pieprzyłeś matkę i lizałeś jej piczę!

Niskie czoło Grubego zrobiło się jeszcze niższe.

– Co?!

Ed spojrzał na Ralpha. Chyba wreszcie go poznał.

– Spytaj go, co ma pod plandeką! – wrzasnął. – Albo jeszcze lepiej niech ci pokaże!

Ralph spojrzał na właściciela pick-upa.

– Co pan tam wiezie? – spytał.

– Co komu do tego?

Być może Gruby pragnął sprawiać wrażenie stanowczego,

ale tylko spojrzał w oczy Eda Deepneau i natychmiast zrobił dwa chwiejne kroki w tył.

– Mnie nic, ale jemu coś – Ralph brodą wskazał Eda. – Niech mi pan pomoże go uspokoić, dobrze?

– To wy się znacie?

– Morderca! – powtórzył Ed i tym razem szarpnął się tak mocno, że Ralph zrobił krok wstecz. Ale działało się coś jeszcze, tak, chyba tak. Puste, przerażające spojrzenie nieruchomych oczu stawało się jakby bardziej ludzkie. W spojrzeniu tym więcej było Eda niż przed chwilą... a może tak się tylko wydawało? – Morderca! Morderca dzieci!

– Jezus, co za wariat. – Gruby obszedł jednak swego forda, odczepił jedną z zamocowanych z tyłu linek i podniósł róg plandeki.

Ford wziął osiem beczek z grubego prasowanego kartonu, a na każdej z nich znajdował się wielki napis WEED-GO.

– To nawóz organiczny – wyjaśnił. Rozbiegane oczy przenosił z Ralpha na Eda i z powrotem na Ralpha. Dotknął daszka swej reklamowej czapeczki. – Cały dzień pracowałem nad nowymi grządkami przed skrzydłem szpitala dla umysłowo chorych w Derry. Przydałyby ci się tam krótkie wakacje, przyjacielu.

– Nawóz? – zdziwił się Ed. Wydawało się, że mówi sam do siebie. Powoli uniósł lewą rękę i zaczął masować skroń. – Nawóz? – powtórzył jak człowiek zdumiony prostym w zasadzie, lecz rewolucyjnym w skutkach wynalazkiem.

– Nawóz – zgodził się Gruby, zerknął na Ralpha i powtórzył: – Ten facet ma nie po kolei w głowie, wie pan?

– Jest oszołomiony, nic więcej – stwierdził niepewnie Ralph. Pochylił się i postukał palcem w jedną z beczek, a potem spojrzał na Eda. – Nawóz – powiedział. – Wystarczy ci?

Żadnej odpowiedzi. Ed zaczął sobie masować drugą skroń. Wyglądał jak ktoś cierpiący na straszliwą migrenę.

– Wystarczy ci? – powtórzył łagodnie Ralph.

Ed zamknął oczy na chwilę, a kiedy je otworzył, lśniły... być może od łez. Wysunął język i dotknął nim delikatnie najpierw jednego, a potem drugiego kącika ust. Końcem jedwabnej chusty przetarł sobie czoło i w tym momencie Ralph dostrzegł na niej jakieś chińskie ideogramy.

– Chyba jednak... – powiedział i przerwał. Oczy znów rozszerzyły mu się w sposób, który bardzo się Ralphowi nie podobał.

– Dzieci! – wychrypiał. – Rozumiesz, co mówię? Dzieci!

Ralph pchnął go na samochód po raz trzeci czy czwarty; właściwie stracił już rachubę.

– O czym ty mówisz, Ed? – Nagle zaświtało mu w głowie. – Chodzi ci o Natalie? Boisz się o Natalie?

Cwany uśmiezek skrzywił wargi Eda, gdy spojrzał nad ramieniem Ralpha wprost w oczy Grubego.

– Nawóz, co? No, to jeśli wiesz nawóz, nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, żeby otworzyć jedną z tych beczek?

Gruby popatrzył niepewnie na Ralpha.

– Potrzebny mu lekarz – orzekł.

– Być może. Ale, moim zdaniem, zaczął się uspokajać. Czy mógłby pan otworzyć którąś z beczek? Może potem poczuje się lepiej?

– Jasne, pewnie. Jak się powiedziało „a”...

Znów błysnęło, znów rozległ się grzmot – ten już wydawał się toczyć z hukiem po całym niebie – i na spoconą szyję Ralpha padła pierwsza kropla deszczu. Zerknął w lewo. Dorrance Marsteller stał na samej granicy terenu piknikowego, trzymając w ręce książkę. Obserwował ich z niepokojem.

– Cholernie poleje, tak na oko – stwierdził Gruby. – Nie wolno dopuścić, żeby nawóz zamókł. Zacznie się reakcja chemiczna. Więc patrzcie szybko. – Przez chwilę szukał czegoś między beczką a burtą pick-upa, aż znalazł pręt spłaszczony na końcu. – Jezu, co ja robię? Muszę być tak samo szalony jak on – wyznał Ralphowi. – Bo przecież po prostu jechałem do domu i nikomu nie przeszkadzałem. To on wpadł na mnie.

– Niech pan otworzy beczkę. To potrwa zaledwie chwilę.

– Pewnie – zgodził się Gruby, podważając wieko. – Ale wspomnienia zostaną na całe życie.

W tym momencie zagrzmiało, więc nie usłyszał następnych słów Eda. Ralph je usłyszał i zaciążyły mu na żołądku jak bryła lodu.

– Pełno w nich trupów dzieci. Zobaczycie.

Gruby otworzył beczkę, Ed zaś przemówił z takim przekonaniem, że Ralph wręcz uwierzył, iż zobaczy płataninę rączek, nóżek i mnóstwo łysych dziecięcych główek. Dostrzegł jednak tylko mieszaninę drobnych niebieskich kryształków i brązowego pyłu, pachnącą mocno zgnilizną i lekko chemikaliami.

– No i co? Zadowolony? – Tym razem Gruby przemówił wprost

do Eda. – A jednak nie jestem ani Rayem Joubertem, ani Dahmerem, prawda?

Na twarzy Eda znów pojawił się wyraz zmieszania, a kiedy huknął grzmot, Ed drgnął. Pochylił się, sięgnął w stronę pojemnika i spojrzał na Grubego. Gruby skinął głową. Ralph miał wrażenie, że w geście tym było sporo sympatii.

– Jasne, wsadź pan tam łapę, mnie to nie przeszkadza. Ale jeśli zacznie padać, będziesz pan tańczył jak John Travolta. To święństwo zrobi się żrące.

Ed wziął w garść odrobinę nawozu i przesypał go między palcami. Spojrzał na Ralpha niepewnie, a także chyba ze sporą dozą wstydu, po czym wsadził rękę w nawóz aż po łokieć.

– Hej! – krzyknął zaskoczony Gruby. – To nie krakersy z niespodzianką!

Przez moment na ustach Eda znów zagościł cwany uśmieszek – „widzisz, nie tak łatwo mnie oszukać” – i znikł, gdy tylko okazało się, że w beczie rzeczywiście nie ma nic oprócz nawozu. Wyciągnął rękę, brudną i śmierdzącą. Nad lotniskiem błysnęło; huk grzmotu był już ogłuszający.

– Wytrzymaj pan to z ręki, nim zacznie padać, ostrzegam. – Gruby sięgnął do forda przez okno od strony pasażera, wyjął torebkę po hamburgerach McDonalda, pogrzebał w niej, znalazł kilka serwetek i podał je Edowi. Ed zaczął czyścić sobie ramię jak ktoś pogrążony w głębokim śnie, Gruby zaś nałożył pokrywkę na pojemnik, przybijając ją wielką, piegowatą garścią i rzucając zaniepokojone spojrzenia na ciemne niebo. Kiedy Ed dotknął jego ramienia, zeszytniał i odsunął się. Spojrzenie miał bardzo uważne.

– Chyba powinienem pana przeprosić. – Po raz pierwszy głos Eda wydał się Ralphowi całkowicie... normalny.

– Cholerna racja, przyjacielu – stwierdził Gruby, ale w jego głosie brzmiała wyraźna ulga. Rozciągnął plastikową płachtę, zawiązał linki kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami. Ralph obserwował go, myśląc o tym, jak strasznym złodziejem jest czas. Kiedyś potrafił zrobić coś takiego równie sprawnie, dziś także potrafiłby to jeszcze zrobić, ale zajęłoby mu to jakieś dwie, trzy minuty... i z pewnością nie obeszłoby się bez kilku jego najlepszych przekleństw.

Gruby poklepał płachtę i odwrócił się w ich kierunku. Ramiona skrzyżował na wielkiej piersi.

– Widział pan wypadek? – spytał Ralph.

– Nie – odparł natychmiast Ralph. Nie wiedział, dlaczego kłamię, ale decyzję o wypowiedzeniu tego kłamstwa podjął błyskawicznie. – Patrzyłem na lądujący samolot. United.

Kompletnie zaskoczony obserwował, jak czerwone plamy rozlewają się Grubemu na całe policzki. Też na niego patrzyłeś, pomyślał. Patrzyłeś nie tylko, jak ląduje, ale i jak kołuje do terminalu, inaczej byś się tak nie czerwienił.

Zaraz potem nastąpił przeblysk jasnowidzenia. Gruby był najwyraźniej pewien, że to on spowodował wypadek albo przynajmniej że kiedy pojawią się gliny, odczytają to w ten właśnie sposób. Obserwował samolot i nie widział, jak z bocznej drożki beztrosko szarżuje na niego datsun.

– Proszę pana, naprawdę bardzo mi przykro – powiedział Ed. Wyglądał, jakby było mu więcej niż przykro... jakby był wręcz rozczarowany. Ralph stwierdził nagle, że wątpi w szczerość jego przeprosin i że być może nie ma najmniejszego pojęcia

(Hej, hej Susan Day)

co tu się właściwie zdarzyło... a właściwie to kim, do diabła, jest ta Susan Day?

– Uderzyłem głową w kierownicę – tłumaczył Ed. – Chyba... coś poprzesztawiało mi się we łbie.

– Co to, to tak. – Gruby podrapał się po głowie, spojrzał na ciemne, groźne niebo, a potem znów na Eda. – Chcę ci coś zaproponować, kolego – powiedział.

– Tak? Co takiego?

– Wymieńmy tylko nazwiska i numery telefonów zamiast całego tego gówna z ubezpieczeniami, a potem rozjedźmy się jak przyjaciele.

Ed niepewnie spojrzał na Ralpha, a później na grubasa w reklamowej czapeczce West Side Gardeners.

– Jeśli wmisza się w to policja – mówił dalej Gruby – zrobi się gówniana sprawa. Podłączą się do komputera i od razu odkryją, że zimą zatrzymano mi prawo jazdy za prowadzenie po kieliszku i że jeżdżę na tymczasowym pozwoleniu. Będą mi robić kłopoty, choć jechałem główną drogą i miałem pierwszeństwo przejazdu. Rozumiesz mnie?

– Tak, oczywiście. Chyba tak, ale przecież to ja spowodowałem ten wypadek. Jechałem za szybko...

– Tylko że sam wypadek może akurat okazać się mało ważny.
– Gruby spojrzał nieufnie na mikrobus, który, żeby ich ominąć,

musiał zjechać aż na pobocze, po czym znów zwrócił wzrok na Eda i rzekł pośpiesznie: – Zgubiłeś trochę oleju, ale już przestał ciec. Jestem pewien, że dojedziesz do domu... jeśli mieszkasz w mieście. Mieszkasz w mieście?

– Tak.

– Zwrócę ci za naprawę... do jakichś pięćdziesięciu dolców.

Ralph doznał kolejnego objawienia. Tylko ono tłumaczyło zmianę, jaka zaszła w Grubym, najpierw udającym twardziela, a teraz niemal błagającym. Zabrano mu zimą prawo jazdy? To chyba prawda. Ale Ralph nigdy nie słyszał o czymś takim jak „tymczasowe pozwolenie” i miał nieodparte wrażenie, że coś takiego po prostu nie istnieje. Ich dobry tęgi przyjaciel zwyczajnie nie miał prawa jazdy! Sytuację komplikował jedynie fakt, że Ed mówił prawdę i tylko prawdę: wypadek nastąpił wyłącznie z jego winy.

– Jeśli się dogadamy i rozjedziemy jak kumple – wyjaśniał dalej Gruby – ja nie będę musiał tłumaczyć się z utraty prawa jazdy, a pan nie będziesz musiał tłumaczyć się z tego, że naskoczyłeś na mnie, uderzyłeś mnie i wrzeszczałeś, że wożę trupy.

– Naprawdę tak powiedziałem? – Ed sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

– Dobrze wiesz, co mówiłeś, kolego – mruknął ponuro Gruby.

Jakiś sepleniący głos z francusko-kanadyjskim akcentem spytał nagle:

– Wszystko w porządku, przyjaciele? Nikomu nic się nie stało? Hej, Ralph! To ty?

Na poboczu stała ciężarówka z napisem na plandecie: „Pralnia chemiczna w Derry”. Prowadził ją jeden z braci Vachonów z Old Cape. Ralph miał wrażenie, że to najmłodszy z nich, Trigger.

– Tak, to ja. – I Ralph, nie zastanawiając się, dlaczego to robi – w tej chwili działał już wyłącznie na instynkt – podszedł do Triggera, objął go za ramiona (taki chyba miał dzisiaj dzień, że wszystkich spotkanych mężczyzn musiał obejmować za ramiona) i poprowadził go z powrotem w kierunku jego ciężarówki.

– Nic się nie stało tym gościom?

– Nie, nic – zapewnił. Obejrzał się. Ed i Gruby stali obok forda i coś do siebie szeptali. Przeszła kolejna fala deszczu, zabębniła po niebieskiej płachcie jak niecierpliwe palce. – Po prostu stłuczka, nic groźnego. Właśnie załatwiają sprawę.

– No to pięknie – stwierdził radośnie Trigger Vachon. – A jak się

ma twoja śliczna żoneczka?

Ralph drgnął. Nagle poczuł się jak ktoś, kto przy lunchu przypomniał sobie, że wychodząc do pracy, zostawił włączony piecyk.

– Jezu! – krzyknął i spojrzał na zegarek. Miał nadzieję, że jest piętnaście po piątej, najpóźniej wpół do szóstej, była już jednak za dziesięć szósta. Dwadzieścia minut temu miał przynieść Carolyn zupę i pół sandwicza. Carolyn z pewnością się boi. Biorąc pod uwagę błyskawice i huk grzmotu przewalający się przez puste mieszkanie, może być nawet przerażona. A jeśli zacznie padać, nie zdoła zamknąć okien, ręce ma już na to za słabe.

– Ralph? – zaniepokoił się Trigger. – Coś się stało?

– Nie, nic. Tyle że poszedłem na spacer i kompletnie straciłem poczucie czasu. Potem jeszcze ten wypadek i w ogóle... Może podrzuciłbyś mnie do domu, co, Trig? Zapłacę.

– Nic mi nie musisz płacić. To po drodze. Wskakuj. Jak myślisz, z nimi wszystko w porządku? Nie zaczną się bić albo co?

– Nie. Raczej nie. Zaczekaj chwilkę.

– Jasne.

Ralph podszedł do Eda.

– Poradzisz sobie? – spytał. – Da się jakoś załatwić tę sprawę?

– Oczywiście. Prywatnie. Bo i czemu nie? W końcu to tylko trochę rozbitego szkła.

Zachowywał się i mówił dokładnie jak stary Ed. Gruby mężczyzna w białej koszuli patrzył na niego z wyrazem niemal szacunku. Ralph nadal był niespokojny, nie czuł się najlepiej po tym, co zdarzyło się na drodze, ale postanowił zapomnieć o całej sprawie. Bardzo lubił Eda Deepneau, tylko że to nie Ed najbardziej go teraz obchodził, lecz Carolyn. Carolyn i zegar, który tykał gdzieś w głębi jej ciała... i w ścianach ich wspólnej sypialni.

– No to świetnie – oznajmił. – Jadę do domu. Ostatnio to ja robię jej kolacje, a jestem mocno spóźniony.

Już miał się obrócić, kiedy Gruby wyciągnął do niego rękę.

– John Tandy – przedstawił się.

Ralph ujął jego dłoń i potrząsnął nią.

– Ralph Roberts. Miło mi było pana poznać.

Tandy uśmiechnął się niewyraźnie.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, mocno wątpię w pana szczerłość... ale bardzo się cieszę, że był pan na właściwym miejscu

we właściwym czasie. Przez jedną jedyną sekundę byłem pewien, że dojdzie do bójki.

Ja też, pomyślał Ralph, ale nie powiedział tego na głos. Zerknął na Eda, pełnym niepokoju spojrzeniem obrzucił tak egzotyczny na chudym ciele podkoszułek i białą jedwabną chustę z wyhaftowanymi na niej czerwonymi chińskimi ideogramami. Nie spodobał mu się wzrok Eda, gdy ich spojrzenia się spotkały. Być może Ed wcale nie wrócił jeszcze do normy.

– Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? – Bardzo pragnął odjechać z Triggerem, wrócić do Carolyn, a jednak się wahał. Uczucie, że coś tu jest bardzo, bardzo nie tak, wcale nie chciało go opuścić.

– Oczywiście, świetnie – zapewnił go natychmiast Ed i uśmiechnął się szeroko, ale uśmiech ten nie sięgnął ciemnozielonych oczu. Oczy te wpatrywały się w Ralpha czujnie, jakby pytając, ile właściwie widział i ile

(hej, hej Susan Day)

zapamiętał.

3

Wnętrze ciężarówki Triggera Vachona pachniało świeżo wyprasowanym praniem. Z jakiegoś powodu zapach ten zawsze przypominał Ralphowi zapach świeżego chleba. Siedzenia pasażera w kabinie nie było. Stał trzymając się jedną ręką klamki, drugą kosza z praniem Danduxów.

– Człowieku, dziwnie to tam wyglądało – powiedział Trigger, zerkając w lusterko boczne.

– Nawet nie wiesz, jak dziwnie.

– Gość, co jeździ tym japońcem... Deepneau, tak? Ma śliczną żonkę. Czasami przysyłają nam swoje pranie. Wygląda na fajnego faceta.

– Dziś z pewnością nie był sobą.

– Mrówka ugryzła go w dupę?

– Nie mrówka. Wsadził tylek w całe cholerne mrowisko!

Trigger roześmiał się głośno, waląc pięścią w wytarty plastik wielkiej kierownicy.

– Całe cholerne mrowisko! Cudo! Cudo! Zapamiętam to sobie.

– Wytarł zażawione oczy chusteczką wielkości mniej więcej obrusa.

– Mnie tam wyglądało, jakby pan Deepneau wyjechał z lotniska, nie?

– Masz rację.

– Teraz trzeba mieć kartę, żeby otworzyć bramę. Skąd on ma taką kartę?

Ralph zmarszczył brwi. Zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie wiem. Nawet o tym nie pomyślałem. Kiedy spotkamy się następnym razem, będę musiał go o to zapytać.

– Rzeczywiście. I przy okazji spróbuj się dowiedzieć, co z mrówkami. – Trigger znów ryknął śmiechem, znów zaczął wymachiwać komiczną chusteczką.

Kiedy skręcili z Extension na właściwą Harris Avenue, burza wreszcie wybuchła z całą siłą. Nie było wiatru, tylko deszcz lunął z nieba rzeką tak potężną, że Trigger musiał zwolnić do ślimaczego tempa.

– Rany – powiedział głosem pełnym szacunku. – Całkiem przypomina to wielką burzę z osiemdziesiątego piątego, kiedy połowa śródmieścia wpadła do tego cholernego kanału. Pamiętasz, Ralph?

– Oczywiście. Miejmy nadzieję, że coś takiego się dziś nie powtórzy.

– Nie! – Uśmiechnięty Trigger patrzył na szalejące po szybie wycieraczki. – Poprawili cały system ścieków. Ale cudo!

Zimny deszcz i wysoka temperatura w kabinie spowodowały, że przednia szyba zaparowała. Ralph bezmyślnie wyrysował na niej symbol:

神

– Co to takiego? – zainteresował się Trigger.

– Właściwie nie mam pojęcia, ale chyba jakieś chińskie znaki, nie? Zauważyłem je na chuście Eda Deepneau.

– Coś mi przypominają. – Trigger powtórnie zerknął na ideogramy, po czym parsknął i machnął ręką. – Taki jestem mądry, a jedyne co potrafię powiedzieć po chińsku to mu-gu-gai-pan.

Ralph uśmiechnął się, ale nie potrafił się roześmiać. Przez Carolyn. Teraz, kiedy już sobie żonę przypomniał, nie potrafił przestać o niej

myśleć. Nie potrafił przestać wyobrażać sobie otwartych okien, firanek powiewających jak ramiona upiórów Edwarda Goreya i padającego do wnętrza mieszkania deszczu.

– Nadal mieszkasz na tym piętrze przy Jabłuszku?

– Tak.

Trigger podjechał do krawężnika, spod kół ciężarówki prysnęły wachlarze wody. Deszcz wciąż lał strumieniem, na niebie szalały błyskawice, huczały grzmoty.

– Lepiej posiedź tu ze mną przez chwilę – doradził mu Trigger.

– Za małą minutkę burza trochę się uspokoi.

– Nic mi nie będzie. Dzięki, Trig.

– Zaraz, zaraz. Dam ci kawałek plastikowej płachty, zasłoni ci głowę jak kapelusz.

– Nie, dziękuję, nie ma sprawy, ja tylko...

Nie miał ani pojęcia, jak skończyć to, co zaczął mówić, ani ochoty kończyć. Czuł strach bliski paniki. Odsunął drzwi ciężarówki i wyskoczył, lądując po kostki w zimnej, pędzącej kanałem odpływowym wodzie. Pomachał Triggerowi na pożegnanie, nawet się nie oglądając, po czym macając po drodze kieszeń w poszukiwaniu klucza, ruszył szybko w stronę domu, w którym on i Carolyn mieszkali razem z Billem McGovernem. Kiedy wspiął się na ganek, stwierdził, że żaden klucz nie będzie mu potrzebny – drzwi były szeroko otwarte. Bill, mieszkający na parterze, często zapominał je zamknąć i Ralph wołał wierzyć, że to sprawka Billa, niż że Carolyn przestraszyła się jego nieobecności i – w tę burzę! – poszła go szukać. Tej możliwości nie chciał nawet brać pod uwagę.

Wbiegł do mrocznego wnętrza, ruszył ku schodom, krzywiąc się na dźwięk grzmotu. Położył rękę na poręczy i przystanął na moment, wsłuchując się w stuk kropel wody padających z przemoczonej koszuli i spodni na drewniany parkiet. Ruszył dogóry – bardzo pragnął wbiec po schodach, ale szybki marsz pozbawił go resztek sił. Serce biło mu mocno, mokre adidas, ciężkie jak dwie kotwice, przysysały go do podłogi; nie mógł zapomnieć, jak poruszała się głowa Eda, kiedy wysiadł z datsuna, szybko, w jedną i w drugą stronę – istny kogut szykujący się do walki.

Trzeci stopień zatrzeszczał jak zwykle i jakby w odpowiedzi na ten trzask z góry dobiegł go tupot szybkich kroków. Nie odczuł jednak ulgi, ponieważ od razu się zorientował, że nie były to kroki Carolyn, i kiedy przez poręcz przechylił się Bill McGovern, kiedy

pod jego wieczną panamą dostrzegł bladą przerażoną twarz, nie był nawet w najmniejszym stopniu zaskoczony. Przez całą drogę do domu towarzyszyło mu przecież uczucie, że stało się coś złego, prawda? Oczywiście. Jednak biorąc pod uwagę okoliczności, trudno byłoby to wziąć za prekognizję. Kiedy przekroczony zostaje pewien poziom zła, nic się już nie poprawia, może być tylko gorzej i gorzej. Pewnie mniej lub bardziej nieświadomie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Tylko nigdy nie przypuszczał, że ta zła droga może być taka... taka długa.

– Ralph! – krzyknął Bill. – Dzięki Bogu! Carolyn... chyba miała jakiś atak. Zadzwoń na pogotowie, po karetkę.

Ralph odkrył, że jest jednak w stanie wbiec po schodach na samą górę.

4

Carolyn leżała w drzwiach prowadzących do kuchni, twarz zasłaniały jej włosy. Ralph dostrzegł w tym prostym fakcie coś strasznego: wyglądało to niechlujnie, a z Carolyn mogło być lepiej lub gorzej, z pewnością nie była jednak niechlujna. Dotknął jej i poczuł, że skórę ma chłodną jak jego stopy w przemoczonych adidasach.

– Chciałem ją położyć na kanapie, ale jest dla mnie za ciężka – powiedział nerwowo Bill. Zdjął z głowy panamę, niepewnie bawił się wstążką kapelusza. – To przez ten mój kręgosłup... wiesz...

– Wiem, Bill, wszystko w porządku – powiedział Ralph, podłożył dłoń pod plecy żony i unióś ją. Nie wydawała mu się ciężka. Sprawiała wrażenie lekkiej, lekkiej jak przekwitły mlecz gotów wyrzucić nasiona na wiatr. – Dzięki Bogu, że byłeś na miejscu.

– Mało brakowało, żeby mnie nie było – odparł Bill, idąc za Ralphem do dużego pokoju i nadal bawiąc się kapeluszem. Ralphowi przypomniał się stary Dorrance Marsteller i ten jego tomik wierszy. „Na twoim miejscu więcej bym go nie dotykał”, powiedział stary Dorrance. „Nie widzę twoich dłoni”. – Właśnie wychodziłem, kiedy usłyszałem hałas... chyba wtedy upadła... – Bill spojrzał na ciemny w mroku burzy pokój. Twarz miał równocześnie ożywioną i tępą, jakby szukał wzrokiem czegoś, czego w tym pokoju z pewnością nie było. Lecz nagle rozchmurzył się. – Drzwi! – krzyknął. – Założę się,

że ciągle są otwarte! Deszcz pada do środka! Zaraz wrócę, Ralph.

Niemal wybiegł z mieszkania. Ralph właściwie nie zwrócił na to uwagi, ten dzień zmienił się dla niego w swego rodzaju surrealistyczny koszmar, a najgorsze z koszmaru było tykanie, tykanie w ścianach tak głośnie, że nie zagłuszał go nawet grzmot.

Położył Carolyn na kanapie i ukląkł obok niej. Oddychała szybko, płytko, jej oddech straszliwie śmierdzał, Ralph nie odwrócił jednak głowy.

– Trzymaj się, kochanie – powiedział. Uniósł jej dłoń, niemal tak lepką jak czoło, i pocałował ją delikatnie. – Trzymaj się, proszę. Wszystko jest dobrze, wszystko będzie dobrze.

Lecz nic nie było dobrze, a tykanie świadczyło, że nic nie będzie dobrze. I tykanie to wcale nie rozlegało się w ścianach, nigdy nie rozlegało się w ścianach, lecz wyłącznie w ciele jego ukochanej żony. W ciele Carolyn. Kochał ją, a ona oddalała się od niego coraz bardziej, i co on bez niej zrobi?

– Trzymaj się – powtórzył. Znów pocałował jej dłoń, przytulił ją do policzka, a gdy usłyszał przeciągłe wycie sygnału zbliżającej się karetki, zaczął płakać.

5

Carolyn oprzytomniała w pędzącej przez Derry karetce (słońce znów pojawiło się na niebie, z mokrych ulic unosiła się para) i najpierw bredziła tak, że Ralph był pewien, iż doznała wylewu. Potem, właśnie gdy zaczęła mówić do rzeczy, znów dostała ataku i potrzebował pomocy jednego z sanitariuszy, by utrzymać ją na noszach.

Na spotkanie z Ralphem, siedzącym w poczekalni na trzecim piętrze, wyszedł nie doktor Litchfield, lecz doktor Jamal, neurolog. Doktor Jamal cichym, uspokajającym głosem powiedział mu, że stan Carolyn już się ustabilizował, że przetrzymają ją jeszcze przez noc, dla pewności, ale rano będzie mogła wrócić do domu. Dostanie nowe lekarstwo – pigułki, owszem, drogie, lecz naprawdę cudowne.

– Nie wolno nam tracić nadziei, panie Roberts – powiedział doktor Jamal.

– Nie – odparł Ralph. – Chyba nie. Czy te ataki będą się powtarzały?

Doktor Jamal uśmiechnął się. Mówił cicho, a jego głos dzięki miękkiemu hinduskiemu akcentowi sprawiał wrażenie jeszcze bardziej uspokajającego. I chociaż nigdy nie powiedział mu wprost, że Carolyn umrze w ciągu tego długiego roku, kiedy walczyła o życie, jak nikt inny zbliżył się teraz do tego twierdzenia. Powiedział, że nowe lekarstwo prawdopodobnie zapobiegnie kolejnym atakom, ale w tym stanie rzeczy wszelkie prognozy traktować należy „z wielką rezerwą”, bo niestety, guz rośnie mimo wszystkich ich wysiłków.

– Jako następne mogą się pojawić problemy natury motorycznej – mówił swym cichym, uspokajającym głosem. – Obawiam się także, że dostrzegam pewne pogorszenie wzroku.

– Mogę z nią spędzić noc? – spytał spokojnie Ralph. – Jeśli zostanę, będzie spała lepiej. – Przerwał, a potem dodał: – Ja też.

– Oczywiście! – Doktor Jamal wyraźnie się rozpromienił. – To znakomity pomysł.

Ralph westchnął.

– Tak – przytaknął. – Ja też tak sędzę.

6

Siedział więc przy swej śpiącej żonie, słuchał tykania, które wcale nie rozlegało się ze ścian, i myślał: Pewnego dnia – może na jesieni, może zimą – znów znajdę się wraz z nią w tym pokoju. Nie było to przypuszczenie, raczej proroctwo. Pochylił się i złożył głowę na białej kołdrze przykrywającej pierś żony. Nie chciał znów płakać, niemniej jednak rozplakał się.

Tykanie. Takie donośne, takie równomierne.

Po północy zasnął, a kiedy obudził się rankiem, było chłodniej niż przez kilka ostatnich tygodni i Carolyn już nie spała. Oczy jej błyszczały, zachowywała się najzupełniej normalnie i w ogóle nie sprawiała wrażenia chorej. Ralph zabrał ją do domu i rozpoczął wcale nielekki trud uprzyjemniania jej ostatnich miesięcy życia – o tyle, o ile w ogóle było to możliwe. Wiele dni minęło, nim znów pomyślał o Edzie Deepneau. I chociaż zobaczył sińce na twarzy Helen, wiele dni minęło, nim znów pomyślał o Edzie Deepneau.

Lato przechodziło powoli w jesień, jesień ustępowała miejsca mrocznej, ostatniej zimie Carolyn i Ralph coraz częściej i częściej myślał o zegarze śmierci, który zwalniał biegu, lecz tykał coraz

głośniej i głośniej.

Ale nie miał problemów ze snem.

Te problemy pojawiły się później.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).